

Krzysztof M. Maj  
**Baju, baju, szumobaju\***

Proza Roalda Dahla jest bardzo specyficzna. Miłośnicy kina, niepałający przesadną chęcią podczytywania sobie literatury kierowanej do młodszego czytelnika, mieli się okazję przekonać o tym chociażby w *Karolu i fabryce czekolady*, w przypadku którego do dziś przychodzi im wybierać między ekranizacjami już to z udziałem kultowego Gene'a „Mema” Wildera, już to neurotycznego Johnny'ego „Sparrowa” Deppa. Wybór ten jest trudny, gdy przychodzi uświadomić sobie, że w zasadzie obydwaj dobrze grają, a problemem jest sama koncepcja fabryki czekolady, która, by działać bez strat energetycznych przy tak dużej liczbie rozmaitych technologicznych imponderabiliów, musiałaby być zasilana przez ujarzmioną gwiazdę. Dla kinomanów wybierających się na najnowszy film Spielberga pod tajemniczym tytułem *BFG* mam dwie informacje. Dobra informacja – jest to produkcja pozbawiona w znacznej mierze dziur logicznych psujących obydwie ekranizacje *Karola, który został fabrykantem*. Zła informacja – to wciąż film oparty na prozie Roalda Dahla, w dodatku przeorientowany na wrażliwość przeciętnego amerykańskiego nastolatka.

Fabuła filmu jest na swój sposób zarazem prosta i urokliwa – tak jak powinno być w porządnie zrealizowanych baśniach, przedkładających mądrość przekazu ponad eksperymentatorstwo narracyjne. Oto w sierocińcu, z którego, jak powszechnie wiadomo, należy uciec (co załatwia nam klasyczny dla baśni chwyt rejterady z Nudnej i Młazgrawej Doczesności ku Słońcu Szalonej Przygody), przesiaduje nocami małaletnia narratorka, Sophie (w klasycznej Mary Sue), która lubi czytać i nie przepada za spaniem, co sprawia, że przez większość najciekawszej pory doby zachowuje pełną przytomność. Zapewne z tego względu postanawia wbrew swej wiedzy, intuicji i zdrowemu rozsądkowi podejść do okna, skąd porywa ją, no cóż, gigant. Bardzo Fajny Gigant, jak każe nam wierzyć tytuł

\* Recenzja filmu: *BFG* [*The BFG*], reż. Steven Spielberg, USA: Walt Disney Studios.

filmu, jednak mimo wszystko gigant, w dodatku – co gorsza – inteligentny, bo nieprzedzierający się przez cichy Londyn<sup>1</sup> z gracją ślepego smoka z siódmej części *Harry'ego Pottera*, lecz stosujący metody kamuflażu, których nie powstydziliby się Adam Jensen z gry *Deus Ex: Human Revolution*. Nasz olbrzym a to zasłania płaszczem uliczną lampę, a to wskakuje ślizgiem na stojącą przy chodniku furgonetkę, a to zamiera, udając sośninę – słowem, dba o to, by nikt z racjonalnie myślących Londyńczyków<sup>2</sup> nie przybiegł przypadkiem do Scotland Yardu z łamiącą wiadomością o inwazji olbrzymów przy okolicznym pubie. Scena nocnej galopady przez Londyn ku formacjom skalnym kojarzącym się nieodparcie z archipelagiem Hebrydów i znajdującą się tam Groblą Olbrzymów jest, trzeba przyznać, fenomenalnie efektywnym sposobem ekspozycji fabuły *BFG* i momentalnie zyskuje sympatię miłośników dobrze zrealizowanych efektów specjalnych. Reszta filmu przebiega w pełnej zgodności z klasycznym schematem baśniowym – BFG przez bramę dostaje się do Krainy Olbrzymów, gdzie udowadnia, dlaczego znany jest jako Bardzo Fajny Gigant, a także ujawnia swe motywacje jako łapacza snów. Giganci zamieszkujący krainę dzielą między siebie najgorsze cechy Brobdingnagnańczyków z *Podróży do wielu odległych narodów świata* Swifta oraz harpii z *Argonautyki*, nękających – jak się przyjęło eufemistycznie określać obsrywanie – króla Fineusa. To ostatnie zobrazowane jest, niestety, dosłownie, gdyż – zmierzamy tu w kierunku największej wady filmu – *BFG* czyni z *fart jokes* nie tylko *rolling joke* filmu, ale i przydaje im motywacji w postaci napitku, którym mają się raczyć olbrzymy, a który bąbluje nie ku górze, a ku dołowi. To, oczywiście, nieskończenie zabawne, jednakże, choćby przez wzgląd na fakt, że żadna z książek Dahla, które przeczytałem, nie nosiła tytułu *Wielkomilud*<sup>3</sup>, nie powiązę tego złośliwie ze spadkiem formy autora *Czarownic*, lecz z fatalnym gustem amerykańskiej diatwy. Dodam tylko, żeby nie było, że nie ostrzegałem, iż w filmie, zgodnie z oryginałem książkowym, pojawi się audyencja Bardzo Fajnego Giganta w Pałacu Buckingham, a grawitacyjnie bąblujący napój odmieni na zawsze skostniałe konwenanse popołudniowych herbatek angielskiej arystokracji.

<sup>1</sup> Każdy, kto kiedykolwiek był w Londynie, doskonale wie, że „cichy Londyn” to oksymoron, porównywalny z wyrażeniami „skuteczny system edukacji w Polsce” lub „fenomenalna gra aktorska Nicolasa Cage’a”.

<sup>2</sup> Patrz przypis wyżej.

<sup>3</sup> Tak brzmi jedno z polskich tłumaczeń *The BFG* Dahla. Zainteresowanych różnicami w przekładzie odsyłam do artykułu na blogu *Poczytaj mi*, pokrótce porównującego dostępne na polskim rynku przekłady powieści: <http://poczytajmi.blox.pl/2007/07/BFG-czyli-BFO-czy-Wielkomilud.html>

Film Spielberga jednakże w jakiś zaskakujący sposób się broni – choć na pewno nie muzyką Johna Williamsa, który soundtrackiem do *BFG* przebił nawet słynącego z recyklingu własnej twórczości Hansa Zimmera. Urzekają olśniewające zdjęcia, fantastyczne efekty specjalne sprawiają, że nieuzbrojonym okiem trudno dostrzec różnicę między postaciami granymi przez aktorów a stuprocentowo cyfrowymi gigantami, wreszcie zaskakujący wątek postkolonialny przyczynić się może do tego, by młody widz nauczył się, że obcy czy inny to nie zawsze od razu zły, zaś interwencja w zamorskiej krainie odbywać się powinna nie w celu zaprowadzenia w niej demokracji (tak to się dziś bodaj określa misję zdobycia cennych surowców naturalnych), lecz niesienia pomocy na wyraźne żądanie mniejszości uciskanych przez lokalną społeczność. Wątek edukacyjny pojawia się też w szczerzej i autentyczniej, choć rozpoczętej w niezbyt przyjaznych okolicznościach, relacji Sophie z Bardzo Fajnym Gigantem, kiedy to dość dziwaczny idiolekt olbrzymia początkowo staje się obiektem żartów, by następnie posłużyć jako lekcja tolerancji dla wszelkich niezależnych od innego ułomności. Nie jest więc tak, by film Spielberga nie zachowywał baśniowej reguły *ad usum delphini* – wręcz przeciwnie, zarówno bawi, jak i uczy, choć może jednak nieco za bardzo stara się okroić opowieść Dahla do dość powierzchownych oczekiwań masowego widza.

Na koniec wypada wspomnieć o kwestii najbardziej w polskim kinie kontrowersyjnej, a mianowicie o dubbingu. Nie ukrywam: początkowo zadrżałem, widząc, iż nie ma dlań alternatyw, ale z zaskoczeniem wypada mi przyznać, że polscy aktorzy, przeze mnie zwykle zwani tak tylko przez niechętną uprzejmość, sprościli zadaniu podłożenia głosu pod film i nie doprowadzili do sytuacji, w której wyłbym z bólu, odliczając minuty do zakończenia seansu. Krótko mówiąc: było zadziwiająco nieźle, choć początkowo mogły razić problemy z synchronizacją głosu z ruchem warg postaci.

Czy byłbym skłonny polecić *BFG* każdemu amatorowi kina fantastycznego czy, posłużmy się adekwatniejszym terminem, baśniowego? W zasadzie tak, choć z tym zastrzeżeniem, że podczas seansu właściwie najlepiej jest wyłączyć myślenie i spróbować cieszyć nie umysł, lecz oko tym, co widać na ekranie – wówczas wyjdzie się z kina zadowolonym, a czasu spędzonego na obejrzeniu ostatniego dzieła Spielberga nie uzna się za zmarnowany. Ale drugie *ET* – to zdecydowanie nie jest.